ROK IX. KWIECIEŃ 1928. Nr. 4.

Wyleć ptakiem z swego gniazda,
Miłać będzie taka jazda.
W. POL.

ORLI LOT

MIESIĘCZNIK KRAJOZNAWCZY
ORGAN KÓŁ KRAJOZNAWCZYCH MŁODZIEŻY
POLSKIEGO TOWARZYSTWA KRAJOZNAWCZEGO



MATKA BOSKA OSTROBRAMSKA.

SEWERYN UDZIELA.

Oświetlanie mieszkań.

Sprawa oświetlania mieszkań dopiero w czasie ostatnich lat kilkudziesięciu została rozwiązana bardzo szczęśliwie, najpierw przez użycie nafty do tego celu, później gazu a wreszcie elektryczności. Żyją między nami ludzie, którzy pamiętają pierwsze lampy naftowe, podczas gdy przedtem w powszechnem użyciu były świece i kaganki, a nawet łuczywo. A naprawdę ciekawem jest to, że do dzisiejszych czasów zachowały się w niektórych okolicach Polski, w zapadłych wioskach, odwieczne sposoby świecenia. Należałoby się rozglądnąć za temi przeżytkami starej cywilizacji i zebrać przyrządy, sprzęty, naczynia używane do świecenia przed wprowadzeniem lampy naftowej i opisać, jak to przy ich pomocy świecono po wsiach i miasteczkach.

Przejdźmy po kolei te starodawne sposoby oświetlania izb i zobaczmy, co z nich pozostało i co możnaby jeszcze zebrać i zgromadzić w Muzeum Etnograficznem.

I. Świecenie łuczywem.

Od najdawniejszych czasów ognisko służyło do ogrzewania, do gotowania, wędzenia czy pieczenia potraw, było też źródłem światła w ciemne wieczory i noce. Przy ognisku gromadzili się domownicy, aby się ogrzać, osuszyć, przy jego świetle wykonywali też różne czynności w długie, zimowe wieczory.

Ognisko na kominie było też u nas przez długie wieki tem „ogniskiem domowem“, tem „ogniskiem rodzinnem“, które zgromadzało i skupiało wszystkich około swego dobroczynnego ciepła i światła. A ogień był szanowany, był czczony, jak bóstwo domowe.

Gdy ludzie udawali się na spoczynek, pilnowali, aby drzewo wypaliło się na kominie, a żarzące się węgle zgarnywali starannie w kącik na nalepie, przysypywali dobrze popiołem i czuwali, aby żar przechował się do dnia jutrzejszego i aby od niego można było rozniecić ogień świeży. Niekiedy przy nalepie była framuga (piecyk) umyślnie przeznaczona na przechowywanie żaru. Jeżeli przypadkiem w czasie długiej zimowej nocy ogień wygasł, rozniecali go przy pomocy krzesiwka. Krzesiwko takie składało się z trzech części: z kawałka żelaza niekiedy ozdobnie wyrobionego, z krzemienia i z hubki, zwykle bukowej. Trudniej było wydobywać ogień przez tarcie twardszego kawałka o miększy. Często radzono sobie w najprostszy sposób taki, że ktoś z domowników szedł z glinianym garnuszkiem do sąsiada, u którego świeciło się już, z prośbą o pożyczenie ognia. Jeszcze dzisiaj w wielu opowiadaniach ludowych wspomina się o tym zwyczaju.

Nad ogniem wisiał zwykle kociołek miedziany, służący do gotowania wody i potraw. Kociołek wisiał na łańcuchu, a częściej na kulach (hakach) drewnianych.

Tak krzesiwko, jak i sposoby wieszania kociołka nad ogniem przechowały się jeszcze w wielu miejscowościach i można je odszukać. A krzesiwka mają często formy bardzo stare, przedhistoryczne i w każdej okolicy inne.

Z czasem czy to dla oszczędzenia drzewa, czy też gdy potrzebne

było tylko światło, a nie ciepło (w lecie), zaczęto używać do świecenia szczyp, smolówek, łuczywa. Wtedy krótsze klocki smolnego drzewa łupane (szczypane) siekierką, a w niektórych okolicach osobnym przyrządem, niby heblem na cienkie, wąskie szczypy, suszono je i używano do świecenia. Ubożsi chodzili na wyrębiska w lecie i łupali smolne pniaki pozostałe po ściętem drzewie i takie smolówki znosili do domu, aby suchemi świecić. Drzewo przygotowane do świecenia nazywano łuczywem.

Łuczywo w czasie palenia się musiało być czemś przytrzymywane i aby jasno świeciło, trzeba było co chwilę odrywać upalony ogarek. Nad nalepą bywała często umyślna szczelina w murze, w którą zatykało się szczypę, albo też były osobne stojaki, większe i mniejsze, drewniane i żelazne, które miały u góry, jakby szczypczyki, gdzie się wtykało łuczywo. To znowu był worek często wylepiony wewnątrz ciastem z tartych ziemniaków surowych z mąką, przybity górnym brzegiem do umyślnie wyciętego w powale otworu, dolnym brzegiem przymocowany do drewnianej obręczy, u której zaś na drutach wisiała blacha z siatką drucianą w środku. Na blasze kładziono szczypy i świecono tak w izbie. Taki świecak znany nam jest w różnych odmianach. Na Polesiu używają do dnia dzisiejszego.

Wszystkie takie przyrządy, przybory należy opisać i zebrać.

Strącaniem węgielków w palącem się łuczywie musiały zajmować się dzieci.

Ten sposób oświetlania wnętrz używany był wszędzie, po chatach, po dworach szlacheckich i po rycerskich zamkach, gdzie dotąd oglądamy i podziwiamy staroświeckie kominki marmurowe i rzeźbione i przybory do świecenia łuczywem. Nad przygotowaniem łuczywa i nad tem, aby się ono dobrze i jasno świeciło czuwał tam osobny służący.

II. Kaganki.

Przez wiele wieków używano u nas i dzisiaj jeszcze używają kaganków do oświetlania kuchni i izb. Wyrabiali je garncarze z gliny; później w niektórych okolicach bywały także kaganki z blachy, a niekiedy znalazł się także kaganek kamienny.

Kaganki miewają różne kształty i bywają różnej wielkości. Zazwyczaj każda okolica używała kaganków innych. Stąd też między nimi jest rozmaitość wielka. W zasadzie jednak są to naczyńka płaskie, płytkie, po jednej stronie wydłużone w dzióbek, bo w tem miejscu sterczy knotek palący się, a z przeciwnej strony zaopatrzone w uszko, lub krótki trzonek do trzymania.

Kaganki napełniano tłuszczem jakimkolwiek, bez wyboru, ot, jaki był pod ręką. W tłuszczu maczał się knot; był to kawałek sznurka, kilka grubych skręconych nici, a nawet kawałeczek udartej szmatki skręconej w palcach.

W okolicach, gdzie pracują, albo pracowali górnicy, mają przez lud używane kaganki kształt kaganków górniczych.

III. Lampki.

Lampki są głębsze od kaganków, bez dzióbka i bez uszka, zwykle u góry szersze, a węższe u dołu. Bywają gliniane i szklane. Knotek

stoi w środku lampki; robiono go zazwyczaj z kawałka prostej słomki powleczonej z lekka wełną, bawełną, lub okręconej takąż miękką nitką.

Lampkę nalewało się tłuszczem, a gdy ten stężał, można było przechowywać lampkę do użytku przez czas dłuższy w miejscu chłodnem.

Najczęściej świecono lampki w kościołach i w cerkwiach przed obrazami świętych, przy grobie Chrystusa w wielkim tygodniu. W domach świecono lampki także przed obrazami świętych, a czasami tylko przy chorym, przy dziecku małem.

Później, gdy zaczęto świecić w lampkach oliwą, uległ zmianie knot, bo słomka w płynnej oliwie nie utrzymała się stojąco; knotek musiał pływać. Zmniejszono także lampki szklane i nadano im kształt górą otwartych baniek na nóżkach.

IV. Świece.

Od bardzo dawnych czasów używano u nas także świec do oświetlania mieszkań i kościołów i używamy ich do tego celu jeszcze do dnia dzisiejszego. Robiono je z wosku i łoju w dwojaki sposób: były świece maczane i lane. W wosku lub łoju roztopionym maczano knoty krótsze albo dłuższe, zależnie od tego, jak wielkie chciano mieć świece i gdy stężał wosk czy łój, który się uchwycił na knocie, maczano go powtórnie i to powtarzano tak długo, dopóki świeca nie nabrała pożądanej grubości. Albo też knoty uwiązywano u poprzecznego patyka nad naczyniem z roztopionym łojem czy woskiem, polewano z góry tym płynem powoli, przyczem wosk jak i łój tężał na knocie. Polewanie powtarzano, aż świeca otrzymała grubość potrzebną. Świece maczane nie były równe i gładkie. Małe świeczki łojowe nazywano w niektórych okolicach „szabasówkami“, bo ich używali żydzi do świecenia w czasie szabasu.

Świece lane były równe i gładkie. Lano je w formach glinianych, blaszanych i szklanych. Były to rurki krótsze lub dłuższe, cieńsze lub grubsze, u góry szersze, u dołu nieco węższe, a kończące się małym otworkiem. Jeszcze mniej więcej przed laty pięćdziesięciu prawie w każdym domu w mieście i na wsi były takie formy do lania świec, bo zwykle robiono sobie świece po domach. Dzisiaj można zobaczyć formy na świece blaszane po kościołach i cerkwiach, gdzie ich używają do lania świec woskowych.

Świece wkłada się do świecznika (lichtarza), a te bywały gliniane, drewniane i metalowe.

Gliniane wyrabiał garncarz, a bywały wyższe i niższe, z uszkiem i bez, gładkie lub ozdobnie karbowane, polewane i malowane. Jest ich wielka liczba różniących się wielkością, kształtem i ozdobą. Bardzo piękne bywają lichtarze huculskie w południowo-wschodniej stronie Polski.

Niemniej wielkiem bogactwem kształtów i ozdób wyróżniają się lichtarze drewniane. Od prostego klocka lub gałęzi z otworem począwszy, aż do pięknych wieloramiennych malowanych i rzeźbionych świeczników wiszących po cerkwiach, kościołach i pałacach przewija się przed wzrokiem naszym niezliczona ilość różnorodnych wyrobów, służących do zatykania świec przy świeceniu.

Z metalowych lichtarzy zajmują nas przedewszystkiem starodawne ręczne wyroby używane po chatach wiejskich i małych miasteczkach,



1, 5. świecaki, 2. bańki szklane do wzmocnienia światła, 3. świecznik, 4. lampka, 6. forma do lania świec, 7—13. lichtarze, 14—17. kaganki, 18. szczypce do obcinania knotów, 19—21. krzesiwka.

a w miastach służących do użytku w kuchni, przy wejściu do piwnicy i t. p. Są to często lichtarze blaszane, nieraz z urządzeniem służącem do podnoszenia świecy w miarę jej upalania się. Rzadsze są lichtarze żelazne. Bardzo charakterystyczne, ciekawe a niekiedy piękne bywają lichtarze i świeczniki mosiężne spotykane po domach, dworach, kościołach i bożnicach, a wykonane przez naszych dawnych rzemieślników miejskich i wiejskich.

Knoty u dawniejszych świec domowych nie spalały się tak dobrze, jak u dzisiejszych świec fabrycznych, ale zostawiały w środku płomienia część zwęgloną, wskutek czego światło ciemniało a płomień silnie kopcił. Trzeba było co jakiś czas obrywać upaloną część knota. Dokonywało się tego przez obrywanie górnej części knota upalonego palcami poślinionymi, aby się nie oparzyć. Służyły jednak do tego także specjalne szczypce metalowe, spoczywające obok lichtarza na metalowej tacce. Takie szczypce można widzieć dzisiaj po kościołach.

Tutaj przypomnieć należy także przyrządy służące do zaświecania i gaszenia świec wysoko postawionych lub wiszących w świecznikach.

Również należy zwrócić uwagę na wyrabiane w domu różnorodne, nieraz sztucznie zamykane, rzeźbione pudełka na zapałki drewniane i blaszane.

Jeżeli się wychodziło ze światłem na dwór, do stajni, czy na strych, wstawiało się świecę do latarki. Starodawne latarki drewniane ze szklanemi szybkami jeszcze spotykamy, więc przy gromadzeniu materjału do oświetlania należy także o nich pamiętać.

Zanim jeszcze weszły w używanie lampy naftowe, trzeba było przy mdłem świetle kaganków i świeczek wykonywać wieczorami wszelkie czynności, wszelkie nawet bardzo delikatne prace. Krawcy i kuśnierze szyli odzież, szewcy robili obuwie, hafciarki delikatnym haftem zdobiły chustki, koszule, fartuchy. To też czyniono próby, aby to światło wzmocnić, bo ubogi rzemieślnik nie mógł sobie pozwolić, aby do pracy zaświecić świec kilka. W Krakowie używali szewcy baniek szklanych, które napełniali wodą i wieszali na małych talerzykach. Za taką bańką szklaną albo między niemi — bo bywało ich od jednej do czterech na jednym przyrządzie — stawiano świeczkę. Światło przechodziło przez bańkę, niby przez soczewkę bardzo wypukłą, wzmacniało się i rzucało silniejszy blask na robotę trzymaną w ręku w pobliżu takiego aparatu. Może gdzieindziej czyniono to inaczej, więc należy poszukać i zbadać.

Tak przeszliśmy pokrótce używane u nas dawniej sposoby oświetlania izb. Należy się teraz rozejrzeć za niemi, opisać je, wyrysować lub odfotografować, a przedewszystkiem zebrać dla Muzeum Etnograficznego w Krakowie na Wawelu.

Za największy, najpiękniejszy, najciekawszy zbiór przyznaje Muzeum Etnograficzne na Wawelu 100 złotych nagrody. Nagroda ta może być rozdzielona na dwie.

Termin nadsyłania prac trwa do 31 października b. r.

Koszta przesyłki zbiorów ponosi Muzeum Etnograficzne.

Jeżliby jakich cenniejszych okazów nie można było darmo dostać do zbiorów muzealnych, ale trzeba je było zakupić, to należy naprzód porozumieć się w tej sprawie z Zarządem Muzeum Etnograficznego w Krakowie, Wawel L. 7.

JAN SŁAWICZEK (kurs III, Sem. Bobrek).

Wrażenia z Tatr.

Deszcz lał jak z cebra, wicher wył jak Cerber który widzi przemykającą nieocloną przez Styks duszyczkę, a turnie swoje nieustępliwe głowy, obyczajem niektórych zacofanych Turczynek, zakwefiły woalami deszczem opitych chmurzysk...

„Ha, darmo". Po godzinie bezcelowego czekania na zaprzestanie deszczu, ruszyliśmy dalej. Chcieliśmy dzisiaj jeszcze zajść na Rysy, notabene, że się wypogodzi. Okoliliśmy Mały Staw i zaczęli się wspinać percią Świstówki. Widoków rozleglejszych nie było, ale zato cudnie przedstawiały się potoki górskie. Tam skądś z mgieł na szczytach wysnuwały się cieniuteńkie jak pajęczyna, srebrne nici strumyka, łączyły się niżej i grzmiącą kaskadą leciały w ubocz.

Droga do Morskiego Oka była nudna pozatem. Otaczały nas mgły. Wszędzie pełno błota.

Dziwna rzecz. Nie wiem, czy to zmęczenie, czy brzydka pogoda wpłynęła tak na mnie, dość na tem, że Morskie Oko nie zrobiło na mnie żadnego większego wrażenia. (Od tej chwili tracę zdaje się 90% czytelników, nie licząc tych, którzy nie mogli wytrzymać i nie doczytali do tego niesympatycznego miejsca). Co u djabła? temu się już nawet Morskie Oko nie podoba! (Tych kilku, co jeszcze zostało, proszę czytać dalej).

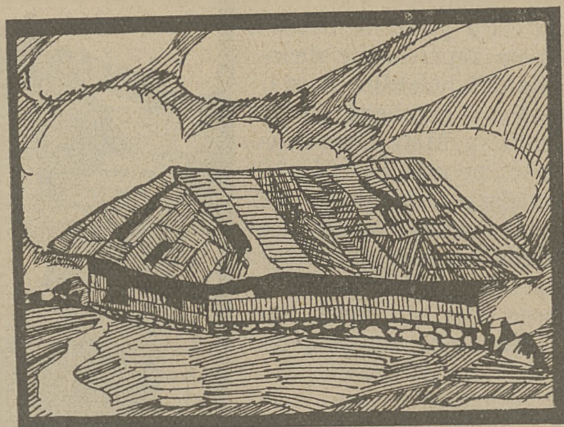


Rys. J. Sławiczek.
Fragment schoniska P. Tow. Tatrz.

Gniewało mnie to, że wszędzie już tu było znać rękę ludzką. Brzeg stawu zarzucony był śmieciami, a z dna jego wyglądałv haniebnie puszki konserwowe. Okoliczne ścieżki stanowiły znakomity teren dla kolekcjonerów różnego rodzaju papierosów, jakie nasz Monopol Tytoniowy fabrykuje. Było też tu mnóstwo drzew z połamanemi gałęziami, ale to (sądzę) zrobił „wiatr halny". Górale machają ręką, bo zresztą cóż mają robić mówią jak dawniej: „A niech se tam duje, to jego cas". Zaś nadewszystko nie podobał mi się ów krzykliwy hotel, sygnały samochodów i t. d. Jednem słowem wszystko to tworzyło wielką dysharmonję z otaczającą, zadumaną przyrodą.

To też niechętnie wchodziłem tu znowu między ludzi. Limba, ta sławna limba z nad Morskiego Oka, o której śpiewał Asnyk, schła najwidoczniej, chorowała, może na melanholję. Jej puszyste, by lisie kity ciemno-oliwkowe gałązki były od dołu niemiłosiernie obskubane(!).

Z wycieczki na Rysy trzeba było zrezygnować z powodu gęstej mgły. Więc co teraz? Towarzystwo nasze podzieliło się na dwa obozy. Jedna część chciała jechać do Zakopanego i to autem, druga znowu, to jest ja i mój akademik, obstawaliśmy też przy drodze do Zakopanego, ale pieszej. Delikatne nasze wymawiania się od jazdy samochodem (zrozumiałe dlaczego) sprawiły to, żeśmy się pożegnali, i każdy poszedł swoją drogą.



Rys. J. Sławiczek.

Chata góralska.

Ruszyliśmy więc piechotą do Zakopanego, odległego od nas o 32 km. Pomykaliśmy raźno gwiżdżąc i śpiewając (jako komu było lepiej) i z widoczną ulgą licząc kamienie kilometrowe.

Było to może za 12 kamieniem kilometrowym, kiedy dopędziliśmy jakiegoś górala, wiozącedo bloki granitowe. Skrzyp wozu nadmiernie obciążonego rozlegał się daleko. Ciężko żałowałem, że nie umiem fotografować, bo był to naprawdę cudowny typ górala. Orli nos, błękitne duże oczy, słowiański zarost i w dwa łuki ściągnięte brwi. Pochodził z Poronina. Zapytałem go, dokąd ten granit wiezie.

— A do Harendy! To na grób Kasprowicza — odparł, jakby chodziło o rzecz małostkową, głosem prostym, może nawet naiwnym. — Dziwne wzruszenie mną owładnęło. Więc to dla twórcy „Księgi ubogich"? Czy ten człowiek wie, co on za Imię wymówił? Dziwne mi się te słowa wydawały: „Dla Kasprowicza na grobowiec". I zrozumiałem teraz dopiero, dlaczego On chciał leżeć między swoimi. Oto, aby ciągle pamiętali o nim, aby żyli jego duchem, aby mu ciągle byli bliscy. Kasprowicz już dawno leżał w ziemi, a jego górale jak mrówki pracowite — zwozili mu granity na grób.

Tak i tem podobnie rozmyślałem, nie słysząc zgoła, jak góral rozentuzjazmowany, opowiadał o Harendzie, prosząc nas usilnie, byśmy tam wstąpili.

— Nie pożałujecie tego, panowie — mówił.

Niebawem jednak — przyrzekłszy, że jego Harendę odwiedzimy, o ile pogoda zezwoli — pożegnaliśmy się z góralem. On skręcał na prawo w lasy, a my na lewo, chcąc podwójną pętlę szosy przeciąć skrótem. Deszcz lał od godziny, byliśmy mokrzy i głodni, i wieczór zapadał. Mimo żeśmy skrótem oszczędzili około 7 km. drogi, trzeba było zanocować. Nogi nasze wykonały już dzisiaj ogromną drogę. Zanocowaliśmy tedy w jakiejś chacie w Zazadle. Mieszkańców chaty zwali okoliczni górale „ceprami“ dlatego, że są przybyszami i noszą się nie na góralską modłę. Po skąpym posiłku (tym razem fundował kolega) ruszyliśmy do stodoły na siano. Jak to rozkosznie było leżeć na miękkim sianie i słuchać wzmagającej się na dworze ulewy. Noc przeszła szczęśliwie i po dwóch godzinach marszu, doszliśmy nazajutrz do Zakopanego.

Powoli chodziłem ulicami Zakopanego (z kolegą się już pożegnałem). Reszta letników opuszczała szybko letnią stolicę, bo wierzyła, że już tu niema co robić. Sezon się wyraźnie kończył. Zakopane pustoszało i tylko deszcz dzwonił o pomnik Chałubińskiego, a próbował grać na starych gęślach Sabałowych.

Pociąg ruszył, uwożąc mnie i cały świat nowych marzeń i uczuć.

Dwie masz Polsko, świątynie: Bałtyk i Tatry. Pierwszą pokochałem, kiedy w noc baśni, w noc cudu, polską, księżycową zamieniła się na ruchliwą, szczerozłotą taflę, drugą: gdy poszarpane mgliska, gnane wichrem, czepiały się zawrotnych urwisk, kiedy ostatni pocałunek słońce kładło na wyniosłem czole turni i kiedy góral z szczerego serca swojego powiedział: „To na Kasprowiczów grób, panie!“

Program Zjazdu Kół Krajoznawczych Młodzieży Szkolnej

w Wilnie w dniach 13—15 kwietnia.

13. IV. Nabożeństwo w Ostrej Bramie. Otwarcie Zjazdu w Uniwersytecie Stefana Batorego, przemówienia, referat o pracach Kół Krajoznawczych Młodzieży. Zwiedzanie Uniwersytetu i jego Bibljoteki. Objad. — Odczyt prof. Sławińskiego o Wilnie.
Walne Zgromadzenie Komisji K. K. M. S., obrady delegatów młodzieży, wieczorem przedstawienie w teatrze Reduta.

14. IV. Zwiedzanie zbiorów Tow. Przyjaciół Nauk, tam odczyt prof. Kościałkowskiego o tych zbiorach. Otwarcie wystawy prac młodzieży, odczyt prof. Limanowskiego p. t. „Przyroda i kultura duchowa Wileńszczyzny“.
Objad. Odczyt prof. Zawadzkiego „O stanie gospodarczym Wileńszczyzny“. Po objedzie zwiedzanie miasta. Wieczornica-święcone.

15. IV. Wycieczka do Trok. Zakończenie Zjazdu.

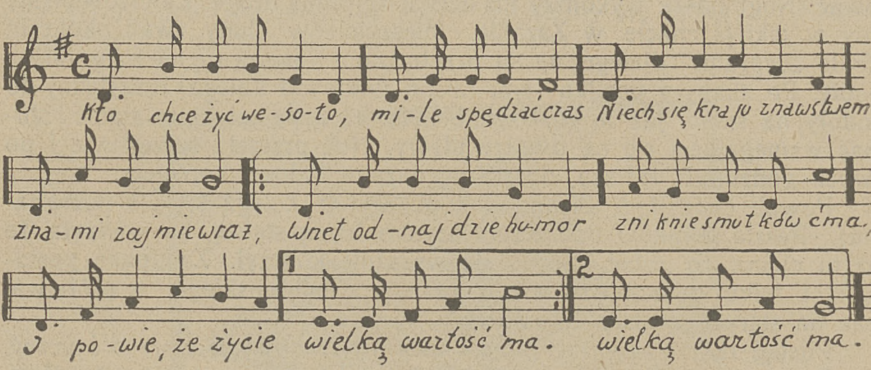
Dzień i godzinę przyjazdu do Wilna oraz ilość uczestników zgłaszać należy na ręce **p. Br. Zapaśnika, dyrektora Gimnazjum im. A. Mickiewicza, Wilno, ul. Dominikańska.** Przedmioty przeznaczone na wystawę też tam należy wysyłać.

Zeszyt ten od str. 82—91 wypełnili członkowie Koła Krajoznawczego Młodzieży Gimnazjum im. A. Mickiewicza w Wilnie.

PIOSENKA KRAJOZNAWCZA

ułożona na 100-ną wycieczkę Koła Krajoznawczego Gimnazjum im. A. Mickiewicza w Wilnie, odśpiewana dnia 16. X. 1927 nad jeziorkiem w Markuciach.

Słowa i melodja Edmunda Rodziewicza.



Kto chce żyć wesoło, mile spędzać czas,
Niech się krajoznawstwem z nami zajmie wraz,
Wnet odzyska humor, zniknie smutku ćma,
I powie, że życie wielką wartość ma.

Bo czyż to jest życie, czy to znaczy żyć,
Przesiadywać w domu, jeść, pić, spać i tyć,
Zasklepiać się w muszli swoich własnych spraw,
I znać kraj o tyle, ile daje traf.

Wycieczki, zwiedzanie oto jest nasz cel,
Ojczyzny poznanie od Karpat po Hel,
Zwyczaje ludowe, poznać bliżej lud —
Jego pieśni, mowę, jego dolę, trud.

Zawsze nam wesoło, zawsze u nas śmiech,
Czy jesteśmy w mieście, czy wśród wiejskich strzech,
Wszystko nas ciekawi, wszystko miłe nam,
Śmiech nam przewodniczy, humor nie zna tam.

Więc komu się nudzi, komu dłuży czas,
Niech się krajoznawstwem z nami zajmie wraz,
Wnet odnajdzie humor, zniknie smutków ćma,
I powie, że życie wielką wartość ma.

ZYGMUNT JAN KORYBUTIAK (Wilno).

Zabytki historyczno-krajoznawcze i miejsca wycieczkowe
w gminie Daugieliskiej pow. Święciańskiego.

Każdy z wycieczkowców wyobraża sobie Wielki Kamień jako zwykły głaz narzutowy, a jednak tak nie jest; Wielki Kamień to największy z zabytków historycznych gm. Daugieliskiej, która oprócz niego posiada jeszcze kilka np. Kurhany w okolicach Gedziun, Pilkalnis i inne.



Fot. S. Korybut.
„Wielki Kamień" w pow. Święciańskim koło wsi Lakamionka gm. Daugieliskiej.



Fot. S. Korybut.
Kapliczka we wsi Kucharzyszki gminy Daugieliskiej pow. Święciański.

Wielki Kamień, znajdujący się o kilometr od wsi Zakamionka, jest olbrzymim monolitem o wysokości około 5 m, leży we wgłębieniu, które zrobił mu lodowiec. W zamierzchłych czasach, gdy naród litewski nie wierzył jeszcze w Chrystusa, monolit ten służył za ołtarz ofiarny, o czem świadczy wgłębienie u góry. Przed wojną na kamień ten zabobonni jeszcze Litwini składali ofiary w postaci monet, płótna i t. p. Obok kamienia są aż dwa cmentarze, które zdają się potwierdzać prawdopodobieństwo przypuszczeń.

Drugim z kolei zabytkiem jest pobojowisko w okolicy wsi Gedziunele, na drodze z Giedziun do Giedziunel. Pole to jest całe prawie pokryte kopcami w kształcie mogił o wysokości paru metrów. Będąc raz we młynie u p. Roberta Ehrentrauta (w Gedziunach) zapytałem, coby miały znaczyć te kopce: otrzymałem następującą odpowiedz: Podczas okupacji niemieckiej oficerowie, zaciekawieni temi kopcami, stworzyli komisję archeologiczną, w skład której wszedł i pan E.; po rozkopaniu kilku kurhanów znaleziono broń kamienną, jak również metalową,



Dąb Dowgiałłów w N. Daugieliszkach.

różańce, zbroję, monety i i., których jednak p. E. nie posiada, gdyż komisja przesłała swoje trofea archeologiczne do muzeum w Niemczech. Jednak pomimo to powstaje przypuszczenie, że walkę toczyli tu Krzyżacy z Litwinami. Do innych zabytków ale już etnograficznych można śmiało zaliczyć okazy snycerstwa wiejskiego, krzyże-kapliczki we wsi Daniuny.

W miasteczku Nowo-Daugieliszki są pozostałości po wspaniałym niegdyś parku Platerów, w którym dotychczas zachował się potężny dąb Dowgiałłów. Na skraju tego parku (wyniszczonego samowolnie przez ludność, podczas powstań) jest kamień pamiątkowy zaślubin Izabeli Borch z hr. Platerem. W miejscu, gdzie przed wojną wybudowano urząd gminy, ongiś stał wspaniały pałac rodziny hr. Platerów. Miasteczko Nowo-Daugieliszki wraz z dobrami należało niegdyś do rodziny Gasztołdów, lecz następnie jako wiano weszło w dom królewski i stało się starostwem. Ostatnim starostą był hr. Plater kanclerz litewski, potem zaś starostwo przeszło na własność zaborców. Drewniany kościół parafjalny pod wezwaniem



Fot. S. Korybut.

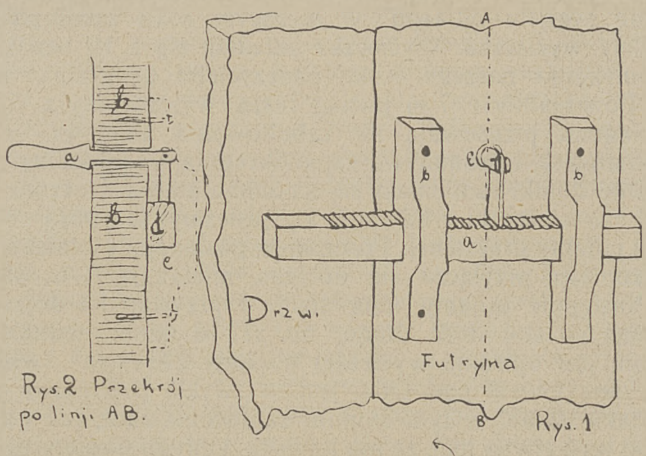
Zagroda wiejska we wsi Łabuńce II gm. Daugielowska pow. Święciański.

śś. Piotra i Pawła był ufundowany przez Gasztołda w r. 1526 i odnowiony w r. 1822 przez Izabellę hr. Platerową.

W odległości 7 km na południe przy gościńcu do Święcian nad ładnem jeziorem wznosi się góra sypana Pilkalnis. Opowiadają, że żołnierze usypali ją na cześć Napoleona, gdy szedł na Moskwę. Na górze tej jest krzyż, a zbocza są kopane przez kogoś (może Niemców). Majątek Przyjaźń leży nad jeziorem Przyjaźnieńskiem w odległości 4 km od st. Ignalino, niegdyś własność szambelana papieskiego p. Kamieńskiego obecnie p. Łorochowa. Przyjaźń posiada piękny kościół murowany w stylu gotyckim (wnętrze w stylu nieokreślonym), wzniesiony kosztem p. Kamieńskiego, pałac zrujnowany trochę i cudny park obecnie zaniedbany. W odległości kilku km na południe wznosi się najwyższa podobno góra na Wileńszczyźnie, Budakalnis.

Zamki drewniane.

Tak popularne niegdyś zamki drewniane musiały ustąpić pierwszeństwa metalowym ze względu na trwałość tych ostatnich. Pomimo



Rys. 1: a) zasuwa „brauktuwie“, bb) skobki „skabas“, C) klucz „raktas“. — Rys. 2: dla lepszego zobrazowania przedstawia przekrój po linji AB: a) klucz, bb) futryna, c) skoba, d) zasuwa.

to jednak na Kresach spotkać można zamki drewniane; służą one do zamykania budynków gospodarskich, mających dla gospodarza mniejszą wartość, natomiast nigdy nie zamykają niemi obory, stodoły i spichrza.

Z trudem udało mi się wynaleźć jeden taki okaz, który był z drzewa zrobiony, gdyż większość zamków tego typu (a mam na myśli zasuwkowe, gdyż innych nie spotykałem) są wykonane całkowicie z żelaza. Zamek, który mam opisać, znalazłem u starego gospodarza Jana Rybaka (we wsi Łabuńce II Daugieliszki, powiat Święciany, woj. Wileńskie). Jest on typu zasuwkowego i konstrukcję ma nadzwyczaj prostą, składa się bowiem z masywnej zasuwy „brauktuwie“ (rys. 1 a), następnie ze

skobek, w których zasuwa się porusza „skabas“ (rys. 1 b) i klucza „raktas“ o ruchomem zakończeniu (rys. 1 b, rys. 2 a).

Technika otwierania jest bardzo prosta: klucz wkładamy do otworu nad zasuwą i następnie obracamy nim parę razy w kierunku wskazówek zegarowych, jeżeli chcemy otworzyć i naodwrót, jeżeli chcemy zamknąć.

Z. J. KORYBUTIAK i ST. SZALL (Wilno).

Wycieczka Koła Krajoznawczego

Gimn. im. A. Mickiewicza do hut szklanych „Niemen“.

Dzień przeznaczony na wycieczkę zapowiadał się jak najlepiej. Skąpane we mgle porannej słońce szybko rozpędziło chmury swemi wesołemi promieniami, pogoda nam sprzyjała.

Na godzinę 6-tą minut 30 wszyscy prawie stawiliśmy się na dworzec: tunelem poszliśmy na piąty tor, gdzie stał „nasz“ pociąg. Przedziały były już przedtem zarezerwowane, pozostawało tylko rozlokować się i czekać sygnału odjazdu. W bieżącym roku szkolnym (1927/28) była to ósma wycieczka. Wycieczka składała się z 19 uczni, pana dyrektora, opiekunki naszego Koła, nauczycielki geografji i nauczyciela przyrody. Punktualnie o 7-ej pociąg rusza, wyjeżdżamy z Wilna, przed oknami wagonu przesuwają się zabudowania kolejowe oraz brudne domki przedmieść. Lokomotywa sapie okropnie, wyjeżdżamy z pradoliny Wilji; brudne domki zamieniają się na schludniejsze otoczone drzewami, te znowu na wioseczki i folwareczki, jesteśmy już poza Wilnem. Za parę minut mijamy przystanek Porubanek, posiadający lotnisko wojskowe; w Bieniakoniach przyłącza się do nas mieszkający tu stale kolega z IV kl. Następnie mijamy inne stacje i przystanki i dojeżdżamy do Lidy. Pociąg tu stoi dość długo, bo aż 18 minut, jednak ponieważ celem moim jest opisanie wycieczki do huty „Niemen“, więc nie będę się długo zatrzymywał nad Lidą. Jest to zwykłe powiatowe miasto, posiadające takie samo, w tym stopniu zabłocone ulice, jak i każde inne; różni się od nich chyba tem, że ma lotnisko, którego niestety nie mogliśmy obejrzeć, ku wielkiemu zmartwieniu naszych młodszych krajoznawców. No ale konduktor daje sygnał odjazdu, ruszamy dalej, powoli przesuwają się i nikną domy Lidy. Obok toru widać bardzo dobrą szosę, która daje zupełnie inne pojęcie o drogach kresowych tak ganionych przez publiczność. Na peronie stacji Niemen spotyka nas inicjator wycieczki, prezes naszego Koła kolega Szall, następują powitania i ruszamy dalej to znaczy w stronę wąskotorówki, która ma nas zawieźć do miejsca przeznaczenia. Po obejrzeniu wszystkiego, co jest godne naszej uwagi, to znaczy piasku białego jak cukier i szpatu, składników szkła, wsiadamy na lorkę (taką nazwę posiada wagonik kolejki wąskotorowej ciągnionej przez konia) i... odjazd.

Droga ze stacji do huty jest prawie że jednostajną, ciągnie się przez las, w którym są podobno wilki napastujące częstokroć robotników.

Obok toru widzieliśmy domki osadników wojskowych, niektóre nie miały jeszcze okien i były naprędce sklecone. Tu dopiero poznaliśmy

ogrom przywiązania do tej szarej, często piaszczystej i nieurodzajnej gleby. Ludzie ci mieszkali w napół zbudowanych domach, nie zrażając się całkiem panującemi przymrozkami.

Po kilkudziesięciu minutach jazdy — woźnica zahamował lorkę — dojeżdżaliśmy do rzeki Niemna. Po prawej stronie widać było charakterystyczny dla Kresów, bardzo miły kościółek, otoczony potężnemi lipami, jednak widokiem tym nie mogliśmy się długo zachwycać, ponieważ trzeba było wysiąść z lorki i wtoczyć ją na prom, który nieopodal kołysał się na falach sędziwego Niemna.

Niemen w tem miejscu rozlewa się szeroko, fale jego płyną napozór łagodnie, ileż jednak ofiar pochłonęły te leniwe, spokojne, a zdradliwe fale. Po przebyciu rzeki wszyscy zajęliśmy swoje miejsca w lorce, zaś kolega Nieciecki zrobił zdjęcie fotograficzne. Lorka potoczyła się raźno naprzód. Po bokach drogi widać było, miejsca skąd brano piasek do wyrobu szkła. Wyjechawszy z lasu, który otaczał swoim zielonym murem tor, ujrzeliśmy zabudowania fabryczne.

Huty szklane „Niemen“ sp. akc., zostały założone w roku 1891 przez Krajewskiego i Stollego i na początku swego istnienia spotkały się z konkurencją żydowską, która jednak nie mogąc dłużej wytrzymać po niedługim czasie swego istnienia musiała złożyć broń. Od tego czasu fabryka rozwija się pomyślnie, podnosząc ilościowo i jakościowo przemysł krajowy. Wielka wojna światowa zmusza właścicieli do zaprzestania pracy, niszcząc równocześnie dobrze wyposażoną fabrykę. Niezrażeni właściciele po skończonej wojnie, odbudowują ją i zaczynają pracę na nowo, gdy nawała bolszewicka powtórnie niszczy, dopiero wydźwigniętą z całkowitej ruiny fabrykę. Gdy zcichły strzały i ugasła pożoga, właściciele poraz drugi odbudowują ją; do tego stopnia, że obecnie fabryka posiada 4 piece, wyrabia szkło prasowane i chemiczne, wysyłając je, oprócz rynków krajowych, na wschód do Turcji i Bułgarji. Musi jednak wytrzymać silną konkurencję czeską.

Wysiadłszy z lorki, ulicą bez nazwy, poszliśmy na placyk, przy którym mieści się gmach zarządu fabryki, a następnie przecięliśmy go i przez park udaliśmy się do willi właściciela huty pana Stollego, gdzie przyjęto nas nadzwyczaj gościnnie. Odrazu po przebyciu zaproszono nas na objad, podczas którego dzieliliśmy się doznanemi wrażeniami i roiliśmy o tem, co zobaczymy.

Punktualnie o godzinie 1-ej wyruszyliśmy zwiedzać fabrykę. Przez bramę wchodzimy na plac, gdzie widać było zużyte donice do topienia szkła, oglądnęliśmy wszystko i ruszamy do hali głównej, gdzie mieszczą się piece, serca huty.

Zanim jednak przystąpię do dalszego opisu wycieczki, niech mi wolno będzie przypomnieć, w jaki sposób powstaje szkło. Zapewne nie wszyscy czytelnicy są w to wtajemniczeni. Składnikami szkła są: 1) piasek kwarcowy, 2) soda, 3) szpat i 4) sól glauberska; do stopienia tego wszystkiego potrzebna jest bardzo wysoka temperatura 1380 do 1400 stopni Celsjusza, której nie wytrzymałyby naczynia zrobione z łatwo topliwych materjałów, używa się do tego donic (o średnicy przeszło jednego metra), zrobionych z glinki ogniotrwałej. Co zaś tyczy się pieców, to tych istnieją trzy rodzaje: 1) piec na donice, 2) wanna wyrobowa i 3) wanna zmianowa. Fabryka posiada wszystkie trzy rodzaje,

przytem wanien zmianowych jest dwie. Piasek do lepszych gatunków szkła musi być idealnie biały, w Polsce mamy taki pod Wołkowyskiem, prócz tego fabryka sprowadza piasek z Niemiec.

Po stopieniu tych czterech składników, o których wyżej powiedziałem, powstaje szkło tak zwane „półbiałe“ (czyli zielonkawe) i trzeba je wybielić, do czego służy selen, używa się go w minimalnej ilości, gdyż zabarwia szkło na kolor różowy. Do barwienia szkła służą rozmaite substancje, jak np. fioletowy kolor otrzymuje się przez dodanie kobaltu, aby uzyskać pomarańczowy — braunsztynu, niebieski — siarczanu miedzi. Fabryka wyrabia szkło prasowane, to znaczy szklane naczynia, ozdoby, szkło chemiczne i szlifowane, natomiast nie robi szyb i butelek, zresztą o tem będzie niżej, teraz zajmę się dalszemi losami wycieczki.

Weszliśmy do najgłówniejszego oddziału, gdzie szklanki i wszystkie przedmioty ze szkła biorą swój początek. W ogromnej szopie (bo chyba, że inaczej nie da się tego określić), koło ziejących ogniem otworów pieca uwijało się mnóstwo osób z piszczelami. Piszczele są to rury, na końce których nabiera się szkło. Zrobiło to na nas ogromne wrażenie, przymrużywszy oczy miało się wrażenie, że widzimy fragment piekła i sądu ostatecznego. Ludzie ci operujący z zawrotną szybkością piszczelami z gorącem szkłem podziałali na naszą i tak już bujną wyobraźnię. Dotychczas nie mogę zapomnieć i bodaj, że nie zapomnę nigdy tego widoku. Żeby lepiej zobrazować pracę w hucie, opowiem w jaki sposób powstaje szklanka.

Robotę rozpoczyna wyrostek, który na koniec piszczela nabiera z donicy trochę szkła, następnie podaje go drugiemu współpracownikowi, który rozdmuchuje z tego bańkę. Dalej piszczel wędruje znowu do rąk wyrostka, który nabiera nań szkła i podaje go majstrowi, a ten dalej dmucha, wyrównywuje bańkę tak zwanym dolnikiem (kawałek drzewa zmoczony w wodzie) i wstawiając ją do formy robi szklankę. Formę szklanki posiada ona tylko u dołu, u góry bowiem jest zakończona czemś w rodzaju szyjki od butelki. Następnie uderzeniem piszczela o brzeg pudła z piaskiem majster odłamuje od niego szklankę, która pada na miękki, biały piasek, żeby zaś od gwałtownej zmiany temperatury nowonarodzona szklanka nie pękła, zabiera ją dziewczyna gorącemi widełkami i niesie do pieca, gdzie stygnie około 12 godzin przy powolnym ogniu. Po ostygnięciu trafia szklanka do oddziału, gdzie obcinają (otrzaskują) górną część, dalej do sortowni, a potem do szlifierni. Tam wpierw dno jej zostaje oszlifowane na wirującem poziomo kole z lanego żelaza, na które wciąż kapie woda z piaskiem czyli błoto. Następnie dno szlifuje się na takiem samem kole ale nie z lanego żelaza, lecz z chemicznie spreparowanego (w Czechach) kamienia, a w końcu na kole z drzewa lipowego. Dalej szlifuje się górną krawędź i jeżeli szklanka jest z lepszego szkła, to wycina się deseń na powierzchni bocznej. Wszystkie te czynności wykonuje się z błyskawiczną szybkością, bowiem robotnicy, pracując akordowo, starają się jaknajbardziej podnieść ilościową produkcję fabryki. Zazwyczaj przy początkowej pracy nad powstaniem szklanki zatrudniony jest akord robotników składający się z majstra oraz z całego zastępu pomocników i pomocnic.

Ze szlifierni szklanka wędruje do innej sortowni i jeżeli brak jej skaz do pakowni, w przeciwnym razie z powrotem do szlifierni. Opi-

sawszy genezę szklanki mogę już spokojnie dalej dążyć śladami oprowadzającego, którym był dyrektor huty pan Szall.

W głównej hali obejrzeliśmy, jak się robi klosze do ciastek, spodeczki, kloszyki do konfitur, szklanki, podstawki, flaszeczki, dzbanki, szkiełka do lamp i wiele, wiele innych rzeczy, prócz tego zmierzyliśmy temperaturę w jednym z pieców, która wynosiła przeszło 1100 stopni Celsjusza. Szkło znajdujące się w stanie płynnym można oglądać tylko przez szybkę z czerwonego lub fioletowego szkła, wygląda ono jak lawa,



Uczniowie i uczenice Gimn. im. A. Mickiewicza w Wilnie na wycieczce z dyr. Br. Zapaśnikiem na czele.

a bucha odeń straszne gorąco (nic dziwnego zresztą przy tak wysokiej temperaturze). Wprost stamtąd poszliśmy do sortowni, gdzie obcinają, a raczej odtrzaskują i sortują szklanki, co chwila słychać brzęk tłuczonego szkła — to robotnica wyrzuciła nienadającą się do dalszej nad nią pracy szklankę.

Z hali głównej poszliśmy do zakładu, gdzie lepią „klepią" donice tak zwane klepanki. Jak już zaznaczyłem, donice robi się z glinki ogniotrwałej, przyczem do świeżej glinki miesza się wypalonej w stosunku 1:3 Majster robi donicę „klepie" w formie i ściany nalepia po kawałeczku, gdyż z powodu wielkości (średnica przeszło metr), niemożebne byłoby umieścić na krążku garncarskim. Świeżo ulepiona donica jest miękka i musi postać 5—6 miesięcy, aby była dobra do użytku. Co do wytrzymałości może być nagrzana do 1500 stopni Celsjusza, dopiero z chwilą przekroczenia tej temperatury staje się miękką.

Stamtąd weszliśmy do szlifierni, przyglądaliśmy się wszystkim fazom szlifowania i wycinania. Muszę tu dodać, że prócz wycinania deseni odręcznie, fabryka robi to także mechanicznie przy pomocy specjalnych automatycznie działających maszyn.

Ze szlifierni poszliśmy do sortowni i pakowni, a stamtąd do oddziału zdobniczego, gdzie wszystkie rzeczy delikatniejsze, jak klosze do lamp, kieliszki, bombonjerki, kwieciarki, kubeczki, wazony i tym podobne rzeczy są zdobione ręcznie lub mechanicznie.

Po zwiedzeniu właściwej fabryki, pozostały jeszcze do obejrzenia tartak i modelarnia. Tartak jest potrzebny fabryce, bowiem posiada moc budynków okrytych gontami, a oprócz tego do sporządzania paczek są potrzebne deski. Obejrzeliśmy jeszcze budującą się elektrownię, która ma swoim prądem zasilać mieszkania robotników. Modelarnia ma w swoich dwu pokojach zgromadzone wszystko to, co fabryka wyrabiała kiedyś obok tego, co teraz wyrabia. Wzrok zmęczony do ostateczności nie widzi nic takiego, na czem mógłby spocząć, bowiem coraz to ładniejsze przedmioty dają się zauważyć. Na jednej z półek ustawione szklanki od największych aż do najmniejszych, to samo z kieliszkami, filiżankami z barwnego szkła (t. zw. obciąganemi), podstawkami, solniczkami, cukiernicami etc., etc. Na innych półkach stoją kałamarze, kwieciarki, bombonjerki, popielniczki, wazoniki i moc rozmaitych przedmiotów, których nazwy trudno zapamiętać. Z modelarni wyszliśmy wprost zmęczeni widokiem tylu różnorodnych przedmiotów. Pozostałego czasu użyliśmy na dokładniejsze oglądnięcie całego osiedla i przekonaliśmy się, że tworzy ono jakby malutkie, minjaturowe państewko, ład panuje tu wielki, ulice oświetlone elektrycznością, robotnicy mieszkają w dużych domach, mają od czasu do czasu rozrywki w postaci teatru, kina, popisów gimnastycznych i odczytów.

Osada Niemen posiada: kaplicę, szkołę powszechną, salę do odczytów i widowisk, spółdzielnię spożywców, kasę chorych, bibljotekę, co wśród tak dzikiej okolicy stanowi bardzo miły kontrast. Jakby oaza cywilizacji wśród pustyni ciemnoty i zabobonu. Ze stowarzyszeń sportowych na większą uwagę zasługuje koło sportowe, które w drugim roku swego istnienia przewyższało podobno organizacje sportowe nowogródzkie. Widać tu najwyraźniej owoce współpracy jednostki w postaci właściciela z ogółem — szarym ludem kresowym, który jeśli nim nie pokierować odpowiednio, zbacza na niewłaściwe tory ze szkodą dla siebie i państwa.

Wieczorem już poproszono nas na herbatę, gdzie nasz fotograf zrobił przy magnezji zdjęcie, zaś około godziny szóstej odjechaliśmy żegnani przez właściciela huty.

Wieczór był bardzo pogodny tak, że mogliśmy się bawić, pod kierownictwem pana dyrektora, w astronomów. Wszyscy tak byliśmy zasłuchani w słowa pana dyrektora i tak zachwyceni tem, co już minęło, że nie zauważyliśmy, jak lorka zatrzymała się przed wodami Niemna.

Woźnica powypraszał z lorki niektórych nieproszonych gości, którymi byli powracający z fabryki robotnicy, wszyscy uzbrojeni w kije w obawie przed wilkami.

Do stacji Niemen dojechaliśmy dość szybko, a może to czas tak prędko przeleciał, wysiadłszy z lorki odrazu poszliśmy do poczekalni, aby się nieco chociażby ogrzać, podczas gdy pan dyrektor starał się o zarezerwowanie dla nas odpowiedniej ilości przedziałów. Z biciem serc i dzwonieniem zębami (zmarźliśmy bowiem podczas podróży lorką)

oczekiwaliśmy na peronie nadejścia pociągu, który sapiąc ze zmęczenia raczył się wkrótce zjawić.

Dalszą drogę do Wilna odbyliśmy bez żadnych przygód; każdy z nudów wprost, lecz nie z życiowej konieczności starał się czemprędzej skonsumować wszystko to, w co zaopatrzyły nas troskliwe jak zwykle mamusie.

Punktualnie o północy wysiedliśmy w Wilnie i po krótkich ale serdecznych pożegnaniach każdy udał się do domu, aby w słodkich objęciach morfeuszowych ramion odpocząć po tylu doznanych wrażeniach.

Wilno w październiku 1927 roku.

Sprawy organizacyjne.

Fundusz im. ś. p. kuratora St. Sobińskiego.

Wpłacone w r. 1927:

	Z przeniesienia „Orli Lot" r. 1927, Nr. 5, str. 100	490·40	zł.
36.	Kółko Krajozn. w Strzyżowie	8·—	„

Wpłacone w r. 1928:

	Z przeniesienia „Orli Lot" r. 1928, Nr. 1, str. 23	77·50	„
8.	Sklepik Uczn. Szkoły Zawod. w Skałce	8·—	„
9.	Dyr. państw. Gimnazjum w Białej	7·50	„
10.	Dyr. pryw. Seminarjum u. ż. w Kielcach	10·—	„
11.	Dyr. państw. Gimnazjum w Dębicy	5·—	„
12.	Komitet Rodzicielski Gimn. w Częstochowie	15·—	„
13.	Dyr. państw. Seminarjum w St. Sączu	9·50	„
14.	Dyr. Szkoły Ekonom.-Handl. w Krakowie	5·—	„
15.	Dyr. Seminarjum ż. im. Fr. Preisendanza w Krakowie	5·—	„
16.	**Dyr. państw. Gimnazjum żeńskiego w Krakowie**	**208·—**	„
17.	„ „ „ „ w Jaśle	20·—	„
18.	„ „ „ „ w Bochni	15·—	„
19.	Żeńska VII kl. Szkoła Przemysłowo-Handlowa SS. Zmartwychwstania Pańskiego w Częstochowie	15·—	„
	Razem	898·90	zł.

Wypłacono nagrody:

1.	Kołu Krajoznawczemu Liceum w Krzemieńcu	100·—	zł.
2.	„ „ Gimnazjum im. A. Mickiewicza w Wilnie	100·—	„
3.	„ „ państw. Gimnazjum żeńsk. w Krakowie	100·—	„
4.	St. Krystasiakowi w Pruszkowie	50·—	„
	Razem	350·—	zł.

Rachunek funduszu nagród.

Wpłacono:

1.	Fundusz im. ś. p. kuratora St. Sobińskiego	898·90	zł.
2.	Nagroda M. W. R. i O. P. z r. 1927	300·—	„
3.	„ Poznańskiego Oddziału P. T. Kr.	30·—	„
4.	Odsetki za rok 1927	65·64	„
5.	Nagroda Krakowskiego Oddziału P. T. Kr.	75·—	„
6.	„ Łódzkiego Oddziału P. T. Kr.	100·—	„
7.	„ M. W. R. i O. P. na r. 1928	500·—	„
	Razem	1.969·54	zł.

Wypłacono:

1. Z funduszu im. ś. p. kuratora St. Sobińskiego	350·— zł.
2. Nagroda M. W. R. i O. P., Kołu w Tomaszowie Maz.	300·— „
3. „ Łódzkiego Oddz. Kołu w Tomaszowie Maz.	100·— „
4. „ Krak. Oddz. Kołu w Kielcach	75·— „
Pozostałość na książeczce Kasy Oszczędności miasta Krakowa	1.144·54 „
Razem	1.969·54 „

Wkładki Kół Krajoznawczych.

Pozostałość z r. 1927 „Orli Lot" z r. 1927, Nr. 10, str. 197 ...... 25·50 zł.

Wkładki Kół:

1. K. Kr. państw. Szkoły Handlowej we Włocławku	7·— „
2. „ „ Seminarjum w Bydgoszczy	5·— „
3. „ „ Gimnazjum w Brzozowie	5·— „
4. „ „ Seminarjum w Kielcach	19·80 „
5. „ „ Liceum w Krzemieńcu	6·— „
6. „ „ Gimnazjum im. A. Mickiewicza w Wilnie	16·70 „
7. „ „ im. Tetmajera w Bochni	14·— „
8. „ „ Seminarjum w Siennicy	4·40 „
9. „ „ „ żeńsk. w Tarnopolu	5·— „
10. „ „ Gimnazjum III w Tarnowie	10·— „
11. „ „ „ w Bochni	10·40 „
12. „ „ „ żeńsk. państw. w Krakowie	10·— „
13. „ „ P. T. Kr. w Warszawie	15·27 „
14. „ „ Seminarjum w Bobrku (ad Cieszyn)	16·80 „
15. „ „ Szkoły III we Włocławku	5·60 „
16. „ „ Seminarjum męskie w Bydgoszczy	10·— „
17. „ „ „ żeńsk. w Żywcu	9·— „
18. „ „ „ „ im. Preisendanza w Krakowie	8·30 „
19. „ „ Gimnazjum żeńsk. im. Kaplińskiej w Krakowie	10·25 „
20. „ „ „ „ w Gnieźnie, ul. Łubieńskiego 5	12·— „
21. „ „ „ w Jarocinie	17·— „
22. „ „ „ w Przemyślu, ul. Grodzka 15	2·80 „
23. Towarzystwo „Przyjaciele Przyrody" w Nowej Wsi	32·50 „
24. K. Kr. Seminarjum żeńsk. w Sandomierzu	5·52 „
Razem	283·84 zł.

Rozchód:

1. Wydatki na korespondencje	26·45 zł.
2. Opłata od przekazów pieniężnych	5·90 „
3. Druki	1·— „
4. Rachunek drukarni „Orbis"	3·— „
5. Opłata od przesyłek (paczek)	1·20 „
Razem	37·55 zł.
Gotówka w dniu 29 lutego 1928	246·29 „
Razem	283·84 zł.

Kraków, dnia 29 lutego 1928.

Dr. Marja Medwecka.
Skarbnik Komisji K. K. M. S.

Z życia organizacyj krajoznawczych.

Gdy żegnać mamy nasze Koło...

(Koło Krajoznawcze państw. Gimn. żeńskiego w Krakowie).

Stając na progu nowego życia rzucamy jeszcze raz okiem wstecz, aby zdać sobie sprawę z ośmioletniego trudu rozszerzania horyzontów umysłowych i pogłębiania charakterów. Jeszcze żyjemy znaczną część dnia w zbyt ciasnych (w dosłownem tego słowa znaczeniu) murach naszej szkoły, jeszcze przed nami egzamin dojrzałości i ostatni, decydujący wysiłek, by zdobyć prawo wejścia w szeregi starszego społeczeństwa.

Dopiero dzisiaj czujemy, ile i jak silnych nici wiąże nas z naszą szkołą i jak bardzo zrosłyśmy się ze środowiskiem naszej codziennej pracy. Jednym z podstawowych czynników szkolnego głębszego współżycia było i jest dla nas Koło Krajoznawcze im. St. Szczepanowskiego, w państw. Gimn. żeńsk. w Krakowie, na którego terenie od szeregu lat działamy prawie samodzielnie, przygotowując się do późniejszych prac społecznych z tego zakresu.

Dlaczego w naszem Kole mogła wytworzyć się taka miła atmosfera — nieraz cisnęło się na nasze usta to pytanie — czyj tu wpływ tak decydująco zaważył? kto tchnął tego ducha wzajemnej życzliwości i wyrozumiałości przy równoczesnem przestrzeganiu zasad obowiązkowości w podjętej przez nas dobrowolnie pracy? Gdy w rozmowach naszych schodzimy do tych zagadnień, prawie zawsze staje nam przed oczyma nasz Ukochany Dyrektor Leśnodorski. Człowiek, kierujący największym w Polsce zakładem wychowawczym, utrudzony wielce swą pracą jest dla nas wzorem na przyszłość, w jaki sposób realizować w życiu szczytne postulaty wychowywania młodych pokoleń na podłożu głęboko przemyśliwanych podstaw kultury krajoznawczej.

W codziennej trosce o dobro wychowanek państw. gimnazjum żeńskiego w Krakowie, nasz dyrektor Leśnodorski zawsze znajduje sposoby przyjścia z pomocą zamierzeniom, czy czynom krajoznawczym. Dziś wspominamy te tak bardzo liczne wycieczki po kraju i wyprawę do Jugosławji, na które zawsze zezwalał, a nawet często starał się o pokrycie częściowe ich kosztów.

Przypomnijmy tę, niedawno czytaną kurendę, która obiegła wszystkie klasy naszego zakładu, w sprawie funduszu krajoznawczego im. ś. p. kuratora Sobińskiego i sprawiła, że kilkakrotną cyfrą mogłyśmy się zapisać na liście ofiarodawczyń.

Ale najbardziej wdzięczne jest nasze Koło krajoznawcze Dyrektorowi Leśnodorskiemu za chętnie ofiarowywany nam czas, za cenne porady i opiekę nad samodzielnie podjętemi pracami, za uczestniczenie w naszych zebraniach, a nawet zabawach, które urządzamy dla „milusińskich“ celem wzmocnienia finansowego funduszu wycieczkowego. Postać tego przełożonego i opiekuna towarzyszyć nam będzie i strzec na stromych ścieżkach życia w przyszłości.

A ileż winnyśmy wdzięczności naszym niestrudzonym Opiekunkom, które kierują pracą naszą w Kole, nadając jej odpowiedni charakter, które zawsze z radością i zainteresowaniem śledzą nasze samodzielne

poczynania i zachęcają do wytrwałej, wydatnej pracy, służąc ochotnie radą i doświadczeniem własnem.

Zawsze będziemy wspominać z uczuciem wdzięczności nasze wycieczki prowadzone przez dr. Niemcównę, na których, od najpierwszych, spacerów w okolice Krakowa, aż do tygodniowych w Beskid czy Pieniny, starała się rozbudzić w naszych duszach umiłowanie kraju i piękna natury i zainteresowanie do obserwowania, badania i zastanawiania się nad problemami geograficznemi.

Długo pozostanie nam w pamięci osoba p. Berggruenównej odkrywajacej nam na wyprawach krajoznawczych cuda i tajemnice natury i zajmującej się administracyjną stroną naszego Koła i dr. Dobrowolskiej, zawsze troskliwie myślącej o pomyślnym rozwoju Koła i ostatnio organizującej wycieczkę młodszych krajoznawczyń w Tatry.

Koło wysyła na Zjazd K. K. M. Szk. do Wilna wcale liczną grupę delegatek. Byśmy jednak prawdziwie skorzystały z wycieczki do Wilna, zapoznajemy się na podstawie książek z terenem, który na wiosnę zwiedzimy, wygłaszając na zebraniach Koła następujące referaty:

Ziemia Wileńska pod względem geograficznym. — Litwa. — Litwa, jako teren wycieczek szkolnych. — Rys geologiczno-morfologiczny Wilna. — Z puszczy Białowieskiej. — Park Narodowy w Białowieży. — Zamek w Trokach. — Hanuta. — Nowo-Święciany. — Gospodarcze stosunki Wileńszczyzny. — Białorusini. — Żydzi na Wileńszczyźnie. — O Karaimach. — Zagroda litewska. — Wielkanoc na Wileńszczyźnie. — Krajobraz litewski na podstawie „Pana Tadeusza“. — Dzieje historyczne Wileńszczyzny od czasów przed-Jagiellońskich do współczesnych. — W sprawie polskości ziemi Wileńskiej. — Wilno na tle dziejów Litwy. — Uniwersytet Stefana Batorego we Wilnie i działalność Śniadeckiego. — Wilno i sztuka. Wilno gotyckie, renesansowe, barakowe i pseudo klasyczne.

Referaty przygotowujemy na podstawie: przewodników Ruszczyca i Kłosa, „Krajobrazu Polski“ Smoleńskiego, „Orlego Lotu“ (rok I, nr. 8, II-2, VII-6, VIII-1). „Ziemi“ (rok VII, nr. 5), „Przyrodnika“ (rok I, nr. 8-9), oraz wielu innych podręczników geograficznych i historycznych, lub nawet manuskryptów profesorów Uniwersytetu. Nie mogłybyśmy jednak marzyć nawet o wyjeździe do Wilna ze względu na brak większej sumy pieniężnej, potrzebnej na tak daleką wycieczkę, to też postarałyśmy się o utworzenie funduszu subwencyjnego, przez urządzanie zabaw i poranków gimnazjalnych, dzięki któremu to funduszowi, powiększonemu przez p. Dyrektora o 300 zł. będziemy mogły wziąć liczny udział w Zjeździe.

Z życia organizacyj krajoznawczych.

Koło Krajoznawcze Uczennic Miejskiego Gimnazjum żeńsk. w Gnieźnie. Zebranie konstytuujące Koła odbyło się 18 stycznia b. r. Na zebraniu przyjęto statut i wybrano zarząd, w skład którego weszły: E. Przybylska (kl. VII) przewodnicząca, M. Szołkowska (kl. VI) zastęp. przew., H. Cieślewiczówna (kl. IV b) sekretarka, H. Zagrodzka (kl. V) i M. Grabska (kl. IV a) skarbniczki, B. Singerówna (kl. VI) bibljotekarka. Kółkiem opiekuje się prof. Sowówna. Członkiń jest 120. Należą uczennice od kl. III do VII gim. włącznie. Dotychczas zostały wygło-

szone dwa referaty: „Cel i zadania Koła Krajoznawczego“ prof. Sowówna, „Wrażenia z wycieczki wakacyjnej po Polsce“ Przybylska (kl. VII).

Kółko prenumeruje „Orli Lot“, „Ziemię“ i „Wszechświat“, a poszczególne uczennice: „Iskry“, „Płomyk“ i „Dziś i jutro“.

Koło Krajoznawcze Państw. Seminarjum Naucz. w Siennicy. Koło nasze w roku 1927 liczyło 30 członków, obecnie liczy 22, a reszta (z wyższych kursówł wystąpiła z tej organizacji, a wstąpili do innej (pedagogicznej). Zebrań członkowskich odbyło się 16, zebrań zarządu 13. Na każdym z zebrań członkowskich by) wygłaszany referat przez któregoś z członków, treści krajoznawczej. W tym roku odbyło się 5 wycieczek bliższych i jedna dalsza; do Lublina, Nałęczowa, Kazimierza i Puław. Na wycieczkach były robione fotografje i rysunki. Prenumerowaliśmy pisma: „Orli Lot“ i „Ziemia“. W tymże roku Koło nasze przystąpiło do Związku Kół, oraz wypełniliśmy nr. 10 „Orlego Lotu“.

Do muzeum przybyły: dwojaczki, czepek, ligawka, stępa, figura św. Michała (rzeźba w drzewie dębowem), kilka fotografji i rysunków, strojów ludowych, trochę monet i kilkadziesiąt wycinanek

Koło Krajoznawcze Uczniów Seminarjum w Bochni. Koło powstało z końcem kwietnia 1927 r. i liczy członkiń 140. Opiekunem Koła jest p. prof. Bronisław Nowak. Przewodnicząca: Olga Bursztynówna; wiceprzewodnicząca: Eugenja Olesiówna; sekretarka: Eugenja Rzepianka; skarbniczka: Janina Kusiówna i bibljotekarka: Natalja Hościńska. Koło odbyło jedno walne zgromadzenie, Zarząd zaś .cztery posiedzenia. Wygłoszono dwa referaty na temat: „O Ziemi Bieckiej“, „O Mazurach w Prusach Wschodnich“ i jeden odczyt na temat: „O wycieczce w Tatry“. którą odbyło 15 członkiń pod przewodnictwem prof. Nowaka. Sprawozdanie z pierwszego Zjazdu Kół Kraj. Młodzieży złożył opiekun Koła. Koło urządziło 3 i pół dniową wycieczkę w Tatry. Prenumerowano 19 egz. „Orlego Lotu“. Członkowie korzystali także z bibljoteki, która liczy dopiero 27. Dochody kasowe wynosiły 127·22 zł., wydatki 86·10 zł.; pozostałość kasowa na rok następny wynosi 41·12 zł.

Z książek i czasopism.

„Polska Oświata Pozaszkolna“, czasopismo poświęcone oświacie dorosłych i wydawane przez Związek Pol. Nauczycielstwa Szkół Powsz., rozpoczęła 5-ty rok swego istnienia.

Zeszyt 1 z 1928 r. porusza aktualne zagadnienia przysposobienia społecznego młodzieży pióra najlepszego u nas znawcy w tej dziedzinie, K. Korniłowicza. Dr. Fritz Seefeld, twórca i kierownik Niemieckiego Uniwersytetu Ludowego w Dornefeldzie pod Lwowem, dzieli się z polskimi oświatowcami wrażeniami, jakie Wyniósł z pięciotygodniowej podróży naukowej do Niemiec, charakteryzując nader trafnie i objektywnie współczesny ruch oświatowy w Niemczech, zwłaszcza w dziedzinie uniwersytetów ludowych różnego typu. Antoni Konewka, kierownik Kursów dla Dorosłych m. st. Warszawy, pisze o wszechświatowej konferencji o kształceniu dorosłych, która odbędzie się w 1929 r. m Cambridge w Anglji.

W dziale p. t. Zagadnienia życia państwowego Polski Współczesnej, w Cyklu: „Wieś i gmina wiejska“ znajdujemy plan wykładu na temat: Przemysł ludowy i handel na wsi — wraz z omówieniem tematu.

„Czasopismo Przyrodnicze“. Organ Tow. Przyrodniczego im. St. Staszica w Łodzi. „Czasopismo“ wychodzi już II-gi rok, ma ono na celu popularyzowanie wiedzy przyrodniczej, z uwzględnieniem zagadnień dydaktycznych. Np. Zeszyt VI przynosi artykuł Wł. Horbackiego o Newtonie; Fr. Hirschberga: Zarys położenia geograficznego i geolog. t. zw. Wyżyny Łódzkiej (z mapą); J. Dernt'a: Zagadnienia symetrji przy nauce mineralogji w szkole średniej; Stef. Konicówny: Refleksje powystawowe. Nadto publikuje Odezwę w sprawie przystąpienia do Ligi Ochrony Przyrody. Prowadzi stałą rubrykę „odpowiedzi“- na pytania dotyczące różnych zjawisk przyrodniczych. Do nru VI Czasopisma dołączono dobrą reprodukcję fot. szkieletu niedźwiedzia jaskiniowego, znalezionego w Grocie Magóry (obecnie w Miejskiem Muzeum w Łodzi). Jako dodatek do „Czasopisma“ wychodzi „Lista adresów przyrodników w Polsce“. Rodzaj księgi adresowej polskich przyrodników i kolekcjonistów, gdzie prócz nazwiska i adresu wyszczególniono jeszcze, w jakiej dziedzinie nauk przyrodniczych dana osoba pracuje, jakie prace publikowała i jakie posiada zbiory. „Lista adresów“ może ułatwić wzajemne porozumienie się przyrodników-zbieraczy w Polsce. Redakcja „Czasopisma“ zwraca się z prośbą do

osób zainteresowanych, by zechciały podać swe adresy do Redakcji „Czasopisma Przyrodniczego“, Łódź, ulica Nowo-Targowa l. 24. *J. B.*

„Wychowanie fizyczne“, miesięcznik poświęcony higjenie i wychowaniu fizycznemu w domu, szkole, armji i stowarzyszeniach. Redaktor prof. Piasecki Eugeniusz, Poznań, Chełmońskiego 20, II. Nr. 4, 5, 6, 9—10, zawierają m. in. „Bieg na przełaj, jako ćwiczenie w wojsku“, kpt. J. Baran. „Możliwości zastosowania mety Nielsa Bukha w szkole i armji polskiej“, ppłk. W. Sikorski. „Szkic głównych zasad techniki wioślarskiej na wiosła długie“, Ł. L. „Celowość budowy i rozmieszczenia stawów“, Dr. Poplewski. „Przyczynek do indywidualizacji ćwiczeń cielesnych“, Dr. P. Klamrzyński. „Obozy P. W. w r. 1927“, ppłk. W. Sikorski, a nadto stały dział oceny książek. Z towarzystw, instytucyj i zjazdów Z ruchu ćwiczebnego i bogatą kronikę.

Cena zeszytu pojedynczego (16-24 str.) z przesyłką pocztową 40 gr., zeszytu podwójnego (32-40 str.) 80 gr., bez przesyłki 35 gr. wzgl. 70 gr. Przedpłata roczna 4·— zł.

Poszczególne numery można nabywać w Krakowie w księgarni Gebethnera i Spki.

Wszelkie przesyłki pieniężne, zwroty niesprzedanych egzemplarzy, należy skierować pod adresem: **Księgarnia „Orbis“, Kraków-Dębniki, Barska 41.** Najdogodniej jest wysyłać pieniądze czekiem P. K. O. na konto 401.101. Na odpowiedzi załączyć znaczek pocztowy.

Redaktor nacz. i odpow.: Leopold Węgrzynowicz, Kraków I., Krowoderska 74, II p.
Administracja: Kraków-Dębniki, Księgarnia „Orbis“.

Odbito w Tłoczni Geograficznej „Orbis“, Kraków-Dębniki, Barska 41
pod zarządem Michała Baranowskiego.